

# ZBIERACZ

## LITERACKI I POLITYCZNY.

### PRZESTROGA.

(Dokończenie.)

Wróciwszy do przytomności ujrzał się w domu, na łóżku, sam jeden w pokoju. Za pierwszym otwarciem powiek zdało mu się że widzi umierającego Majora; a straszne przypomnienie jak piorun, razem zabłysło mu w głowie i uderzyło w serce; sumnienie i serce wołały, że się obudził zbrodniarzem. Ta myśl, to jedno uczucie jak widoma chmura, jak ciemność, wali się nań, przytłacza, tłumi oddych, pochłania; — on czuje że się oprzeć nie zdoła; .. porwał się i wybiegł na pole. Dzień pogodny, — spójrzył ku niebu: — tam świadek i sędzia występku! — ze szklanego błękitu patrzy oko Majora!... Spójrzył ku ziemi: — to grób jego! cała biała od śniegu, jak twarz jego przy śmierci! — zamknął oczy: — sam w sobie widzi naj-

straszniejsze widziadło, widzi powody swęj zbrodni, widzi śmierć i groźbę Majora; — ach! nie dla niego natura!.. nie dla zbrodniarza samotność! — Spotyka wieśniaków i sługi, wszyscy umykają się z drogi, spuszczaają oczy mijając, lub spoglądają ze wstrętem; do żadnego przemówić nie śnieć, każdego wyrzutów się boi; — nie, nie! on nie może żyć z ludźmi! — Zamknął się znów w swęj izbie, i ukląkł — lecz do kogóż to myśli przemawiać? — Czyż go Bóg nie ostrzegał sumieniem? — Czyż łzy i słowa przestępcy więcej ważyć będą u Boga, niżli krew niewinnego, i sprawiedliwość wołająca o pomstę? — Nie, nie! on nie śmie się modlić! — Modlitwa niegdyś najlepsza pociecha jego w strapieniu, dziś zdaje mu się tylko zuchwałością, bluźnierstwem! — Uczuł najśrodszą karę winowajcy, w miłosierdziu Bożém nie ufa! —

W parafialnym kościele w Smorgoniach odprawiało się nabożeństwo zadusze, jak za zwyczaj w nocy, przededniem. Ołtarz, okna i ściany kościoła obleczone kirem, odbijały blade światło lamp i świec jarzących, rzędami otaczających katafalk, ustawiony na środku kościoła. Nad katafalkiem wysoko wznosiła się trumna, okryta całunem czarnym, z białym w pośrodku krzyżem, z trupiemi głowami po końcach i groźnym do koła napisem: *hodie mihi cras tibi*. Po rogach katafalku stały na wysokich podstawach cztery wielkie figury z płaskiej deski wyrżnięte i powleczone malowaniem płótnem, wystawujące: Śmierć, Wiarę, Nadzieję i Miłość. Trzej księża w żałobnych ornatach, siedząc na niskich taboretach przed katafalkiem, śpiewali psalmy za umarłych, przy wtórze posępnego organu i parafialnych śpiewaków. Cały kościół napełniony był ludem; po ławkach paliły się latarnie i stoczki nad rozłożonemi książkami, po wszystkich gzymsach kościoła cienkie woskowe świeczki, które lud za dusze krewnych i przyjaciół zapala, w mniemaniu że im przez to ciemność czyscową rozjaśni.

— Taki był ogólny widok kościoła, gdy Pan L. pomimowolnie, sam nie wiedząc jakim sposobem, ujrzał się nagle w przysionku, i jak cudzą siłą popchnięty, wszedł i zbliżał się do ławek. Właśnie ksiądz z kadzielnicą i kropidłem wręku obchodził do koła katafalk, i zatrzymując się po rogach, poświęcał go wodą i kadził. Oczy Pana L. pomimowolnie szły za nim, i wlepiły się z osłupieniem w każdą z kolei figurę obok której ksiądz stawał. Podstawy ich między lichtarzami ukryte, same białe, w blasku tyśiąca świateł obok siebie płonących, nad którymi drżało powietrze, wydawały się patrzącym jak napowietrzne obrazy, jak ulatujące widziadła. Pan L. patrzył na nie z przestraczem, — gdy w tém jedna z nich, najbliższa, wyobrażająca śmierć, w którą się najbardziej wpatrywał, zdało mu się, że się porusza; — zwróciła się twarzą ku niemu, i rękę do góry podniosła; — poznał giest i rysy umierającego Majora! — Zrazu nie wierzył sam sobie, lecz im bardziej wzrok natężał, by się o nieprawdzie przekonać, tym wyraźniejszym był ruch i podo-

bięństwo figury. Pomiészany i wpół martwy z przestracchu, zakrył twarz obiema rękami, i przywołując pomocy rozumu, czekał aż urojenie przemienie. Szelest jakiś wyrwał go z tego dumania; podniósł głowę; — lecz któż opisze przerażenie jego, gdy ujrzał, że już wszyscy wyszli z kościoła! Głucha cichość otaczała go wkoło, słyszał tylko pęłganie świec i bicie własnego serca. Spuścił oczy, by nie nie widzieć; i nie śmiąc upuścić oddęchu, ruszył się powoli z ławki i ku drzwiom zmiérzać zaczynał; wtém usłyszał za sobą łoskot, jakby zeskakującej z wyższego miejsca osoby; struchlał cały i w tył się obęjrzał, — o zgrozo! — to figura zeskoczyła z podstawy, przeciska się między świecami, biała, wysoka, z ręką podniesioną do góry; wyszła na środek kościoła i postępuje ku niemu. Pot śmiertelny oblał całego; chce uciekać, nie może; — mdłość odjęła mu nogi; stoi w miejscu, i patrzy jak się widmo przybliża; nie ma mocy spojrzeć w twarz jego, lecz widzi skrwa-wione piersi, lecz widzi bladą rękę z rozprzestrzenionými palcami, co go już za ramię uj-

muje!.. Skoczył w tył, wpadł do przysionku i drzwi przed widmem zatrzasnął. Rzucił się do drzwi zewnętrznych, probuje, kolace, zamknięte! — A w tém drzwi od kościoła skrzyppnęły, otwierają się same, z szelestem; a na progu stoi figura, Major! — a za nim cały kościół jakby dymem zamglony; a w tójmgłę niezliczone postaci, jedne nad drugiemi w powietrzu, wszystkie w bieli, w zasłonach, tłoczą się od góry do dołu! Widziało już go dosięga; twarz jego blada, zsiniała, mroźnym szronem pokryta; wzrok iskrzy resztą życia i gniewem; z ust głos już słyszany zawołał: «Zdrajco, znalazłem ciebie! nie zapłacisz, zapłacisz!» — i lodowata ręka spuściła mu się na czoło. Dreszcz śmiertelny przebiegł po członkach; zadzwoniło w uszach jak dzwony... Porwał się i oczy otworzył! — O radości! — ledwie śmie wierzyć... to wszystko było snem tylko! — To pokój, to łóżko jego, na którém nierozebra-ny zasnął: zimna ręka, to ręka sługi, który go budzi, jak kazał. — Lecz co za niepojęta w duszy jego odmiana! — Wszystko, co widział, snem było; lecz co uczył rzeczywiście, i te-

raz pamięta i czuje; we śnie nabył doświadczenia duszy, któreby może na jawie zgubą swęj duszy opłacił. «O niepojęte miłosierdzie Boże!» — zawołał, rzucając się na kolana przy łóżku. — «Bóg więc mą modlitwę wysłuchał! Pokazał mi głąb przepaści, w którą niegodna słabość wczoraj jeszcze wtrąciłby mnie mogła. To jest wsparcie, o które błagałem; to przestroga, której czułem potrzebę! Dokończ dzieła twego Boże! dodaj siły, bym z niej umiał korzystać!» — Po tych słowach wstał i lekkim krokiem udał się do pokoju, gdzie stała jego szkatuła. Otworzył ją, ujrzał złoto i srebro, i sam pojąć się nie mógł, że tak nagle dla niego cały swój urok stracił. «Marne blaszki! zawołał z tryumfującym uśmiechem, — «nie jestem, nie! nie będę niewolnikiem waszym!» — i niewymowna radość serce jego przejęła. Uczuł przekonanie wewnętrzne, że słabość swoją pokonał; uczuł siłę, że goniepodbije na nowo, uczuł swobodę duszy, jakiej dotąd w życiu nie doznał; i uśmiechnął się z wczorajszego siebie, jak mąż z nierozsądku dziecięcia. —

Dzień ledwo świtać zaczynał,

gdy lekkie pukanie do drzwi obudziło Majora. «Kto tam?» krzyknął porywając za szpadę. — «Przyjaciół!» odpowiedział Pan L. wchodząc do pokoju z żołnierzem niosącym zapaloną świecę. Twarz i oczy młodzieńca jaśniały takim blaskiem i wraz z radością, że Major wpatrując się w niego z podziwieniem, rzekł: «Nie śmiem spodziewać się zawczasu, lecz wniósłbym z postaci twojej, że mi dobrą nowinę przynosisz.» — Słowa te zmieszały i zawstydzily Pana L., który zbyt mocno własnem uczuciem zajęty, o wszystkiem innem w tej chwili zapomniał. «Niestety! Majorze! odpowiedział z westchnieniem, to, co mógłbym dobrego powiedzieć, maie tylko samego się tycze. Spodziewam się jednakże, że mi radości mej za złe nie weźmiesz, skoro ci jej powód odkryję, a odkryćgo muszę i powinienem. Wyświadczyłeś mi wielkie dobrodziejstwo, Majorze, o którym nie myślałeś i nie wiesz. Z wczorajszej gry i z przymówek moich sąsiadów, mógłś się być domyślać, i widziałem, żeś się domyślał, że nie jestem ubogim, i... — tu zarumienił się mocno, i po

chwili wahania się dodał: — ci że mnie za skąpego miano. Wyznaję, że tak było wistocie, nędzna słabość, mnie samemu obrzydła, niweczyła moje dobre chęci, nie dawała mi stać się człowiekiem. Mówię otwarcie i bez zapłonienia, bo czuję, iż mogę dodać, że ja już na zawsze pokonał. Tyś mi dopomógł Majorze! — Gdybyś wczoraj, korzystając z nierozwagi mojej, kazał zapłacić sobie całą ogromną sumę, którą już byłem ci przegrał, przywiódłbyś mnie może do rozpaczki, albo ja sam nie wiem do czego. Gdybyś nawet ułatwiając mi odegraną, czynił to w chęci upokorzenia mnie przed drugimi, a okazania szlachetności własnej; dopiąłbyś może celu, lecz jakąż miałbyś zasługę? Szlachetne i pełne względności postąpienie twoje, inny wcale sprawiło skutek; wzmogło dobrą stronę mych uczuć, dodało pobudki i chęci, by nie zostać niższym od ciebie. Bóg dobry dokonał reszty. Obudziłem się dziś innym człowiekiem. I nie w chwilo-wém uniesieniu zapału, ale z mężką rozwagą powiadam: iż odąd pieniądze będą dla mnie

nie czém inném, jak prostém narzędziem do wykonania tego, co moje uczucie i rozum za dobre i użyteczne osądzą. Widzę w twoich oczach Majorze, że się nie omyliłem w nadziei, że to szczeré powierzenie się moje czującym przyjmujesz sercem. Pozwól też bym tobie pierwszemu dał dowód, że to, co mówię, uczynkami potwierdzę. Oto jest sto dukatów, którem ci winien, Majorze; oto jest drugie sto, które chciéj rozdać potrzebnym; wielu ich napotkasz po drodze. O mnie też bądź przekonany, że skoro który z nich wstąpi do domu mojego, nie wyjdzie z niego żebrając; a każdy dobry tego rodzaju uczynek, Bóg tobie, jako źródłu, przypisze. Bądź zdrow Majorze! Nie zobaczymy się może nigdy, lecz chciałbym się spodziéwać, że nie zapomnimy o sobie.» — Zrozrzuwieniem pożegnali się oba, a uczucie szacunku i zacności wzajemnej, każdemu w położeniu jego, mocy i ducha dodało. —

Zdarzenie to w głównej treści prawdziwe, dla badacza tajemnic natury ludzkiej obojętném być nie powinno. Czego

rozum i wola człowieka przez lat wiele dokazać nie mogły, to sprawiło czeze przewidzenie sennie, przez krótką tylko chwilę na wyobraźnię i uczucie działając. Sam pan L. nigdy o niēm bez łez rozrzewnienia nie wspomni, uważając je za ważne wsparcie z góry mu udzielone, i za zbawienną przestrogę z której, że umiał korzystać, całe dalsze życie jego dowiodło. Pokonawszy raz w sobie zbytnią do pieniędzy skłonność, nie w nim nie przeciwko się natechnieniom dobroczynnego z natury serca; a ci, co go niegdyś z szyderstwem obwiniali o skąpstwo, z zawstyżeniem przekonąć się musieli: iż człowiek, co się raz w sobie z wady jakiej poprawi, lepszym jest później w tym względzie od tych wszystkich, co jej nigdy w sobie nie mieli. Lecz, aby pojąć cudowne drogi opatrności, to jeszcze dodać należy, że właśnie cnota hojności, przeciwna pokonanej wadzie, stała się dla Pana L. źródłem największego szczęścia. W lat parę po skończonej wojnie, młodzieniec pewny znajdujący się w potrzebie i niedostatku, zabrawszy

przypadkową znajomość z panem L., znalazł w nim przyjacielką pomoc i wsparcie, które mu do poprawy dalszego losu pomogły. Siostra jego, pełna wdzięków i zalet osoba, przejęta wdzięcznością dla wspianiałomyśnego dobroczyńcy brata, pragnęła sama go poznać. Znajomość zamieniła się w miłość, a uwiędzona małżeństwem, dziś jeszcze ich szczęście stanowi. W sam dzień ślubu, gdy już przed ołtarz iść mieli, pan L. odebrał list z poczty — był to list od Majora; o którym dotąd, pomimo czynionych zabiegów, żadnej nie można było powziąć wiadomości. Donosił w nim, że ranny niebezpiecznie w wojnie 1815 roku, dotąd za granicą zostawał, lecz, że nakoniec odzyskawszy zdrowie, szczęśliwy do ojczyzny powrócił. Przypomniał P. L. obietnicę jego, przepowiadając mu jakby wieszczem natechnieniem, iż jeśli w niej dotrwa statecznie, dozna nieomylnie na sobie, że Bóg prędzej czy później nie zostawi bez nagrody tych, co waleząc ze słabościami, pracując nad udoskonaleniem swęj duszy.